Wojna obronna 1939

https://1wrzesnia39.pl/39p/artykuly/52750,Stanislaw-Ruman-Ucieklem-Sowietom-i-Niemcom.html
23.04.2024, 10:32

Stanisław Ruman - Uciekłem Sowietom i Niemcom

Rodzice moi pochodzili z Tarnowa, ale jeszcze przed I wojną światową ojciec, służący wówczas w armii austriackiej, został przeniesiony służbowo do pułku w Kołomyi. Urodziłem się tuż przed wybuchem wojny – 8 lipca 1914 roku.

Pamiętam dobrze lata gimnazjalne. W Kołomyi były wówczas dwa męskie gimnazja – polskie i ukraińskie – mieszczące się w jednym budynku. Było też prywatne gimnazjum żeńskie sióstr urszulanek, w którym uczyły się wszystkie moje siostry. Dyrektorem polskiego gimnazjum był Stanisław Boroń, wybitny pedagog i patriota. W czasie okupacji został rozstrzelany przez Niemców. Często oglądam do dziś niemal cudem zachowane nasze tableau maturalne z 1934 roku, na którym oprócz maturzystów uwiecznione jest też grono profesorów. Ciekawe, że w polskim gimnazjum uczyli i wychowywali nas w pełnej harmonii profesorowie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Myślę, że to właśnie

zadecydowało o wyrobieniu w nas szczerej, niekłamanej tolerancji, wzajemnego zrozumienia oraz szacunku dla różnych narodowości i wyznań. Z prawdziwą sympatią wspominam do dziś Ukraińca, wykładowcę łaciny Zadorożnego. Dzięki niemu poznałem patriotyzm ukraiński w stylu niedawnej pomarańczowej rewolucji. Pamiętam, jak na jednej z lekcji tłumaczyliśmy dialog Marcusa z Timarchusem. Grek Timarchus przekonywał Marcusa, że największą krzywdą, jaką wyrządzili Rzymianie jego narodowi, nie były zniszczenia materialne, ale zniewolenie. Profesor w tym momencie przez łzy powiedział: każdy naród dąży do wolności. A potem opuścił salę.

Marzenie – wojsko

W szkole należałem do harcerstwa i do Legionu Młodych, czyli elitarnej organizacji politycznej przy BBWR. Po maturze złożyłem podanie do podchorążówki w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Szkołę ukończyłem w 1937 r. Jej komendantem był wtedy płk Bociański (późniejszy wojewoda wileński), a potem płk Żongołowicz. Bociański miał twardy charakter, był typowym oficerem, człowiekiem ze stali, a jednocześnie wielkim moralistą. W szkole tej uczyliśmy się nie tylko dyscypliny wojskowej, ale także kształtowaliśmy nasze postawy moralne. Patronem naszej 44. promocji był gen. Gustaw „Orlicz” Dreszer. Po promocji i defiladzie w Komorowie wyjechaliśmy do Warszawy, gdzie w Sali Rycerskiej na Zamku Królewskim odbyło się przyjęcie, na którym podejmował nas prezydent Mościcki i marszałek Rydz-Śmigły. Stamtąd od razu rozjechaliśmy się do pułków. Dostałem przydział do 9. Pułku Piechoty Legionów w Zamościu należącego do 3. Dywizji Piechoty Legionów. Uważałem to za pewnego rodzaju wyróżnienie, gdyż pułki legionowe cieszyły się najlepszą opinią. Dowódcą pułku był Stanisław Sosabowski, wtedy jeszcze pułkownik, późniejszy generał, dowódca brygady spadochronowej, który prowadził słynny desant pod Arnhem. Zostałem mianowany przez niego dowódcą plutonu szkoły podchorążych rezerwy, której komendantem był major

Korsak, legionista. Bardzo dobrze mi się pracowało z podchorążymi. Wszyscy oni byli już nie tylko po maturze, ale często po studiach.

Manewry

W 1939 r. zorganizowano wielkie manewry wołyńskie, głównym rozjemcą był gen. Rydz-Śmigły. Jako dowódca kompanii karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych brałem udział w tych manewrach. Któregoś wieczoru – manewry trwają, cały czas jesteśmy w stanie bojowym, nie wolno ani na chwilę pomyśleć, że jest jakaś przerwa w działaniach bojowych – a tu nieprzyjaciel zorganizował sobie kolację. Podjechały kuchnie polowe, a przecież to są działania bojowe! Zebrałem swoich dowódców karabinów maszynowych i mówię: obejdźcie dookoła i zaatakujcie karabinami maszynowymi. Zrobił się straszny raban. Po rozpoczęciu strzelaniny tamci szybko się rozbiegli. Na to wszystko przychodzi do mnie jeden z oficerów rozjemców i mówi – panie poruczniku, jest pan wezwany do głównego rozjemcy, czyli do gen. Rydza-Śmigłego. Pytam, w jakiej sprawie. – Pan zrobił największy błąd, jaki można zrobić. Całkowicie popsuł pan założenia tego ćwiczenia, wszystko wzięło w łeb, a wojsko się rozpierzchło. – Przyprowadzono mnie do Rydza-Śmigłego, a on mówi do kapitana-adiutanta: proszę zwołać cały pułk, zrobić zbiórkę, będzie odprawa. Porucznik Ruman – wystąp. I Rydz-Śmigły ogłasza – z dniem dzisiejszym degraduję porucznika Stanisława Rumana do stopnia szeregowca, odbieram mu prawo jakiegokolwiek dowodzenia. Myślę sobie, Boże, koniec kariery, a przecież ja o tym marzyłem! Następnego dnia zwołują znowu oddziały, znów ustawili je w czworoboku. Rydz-Śmigły ogłasza – wczorajsza decyzja była oparta na niewłaściwym rozpoznaniu, niewłaściwej informacji, jaką otrzymałem od adiutantów poszczególnych pułków. Porucznik Ruman nie tylko zostaje przy swoim stopniu oficerskim, ale zostaje przy mnie jako rozjemca.

Wybuch wojny

Kończy się sierpień, wracamy po manewrach z Wołynia. Już było takie przeczucie, że coś wisi w powietrzu, że jest niedobrze. Któregoś dnia mieliśmy mecz. Ja byłem piłkarzem i opiekunem drużyny piłkarskiej CWKS Zamość. Walczyliśmy wtedy akurat z Czarnymi Lwów. Podjeżdża do mnie adiutant dowódcy pułku, kapitan Kurowski, i mówi: panie poruczniku, natychmiast do dowódcy pułku, do płk. Czajkowskiego (pułkownika Sosabowskiego zabrali już do Warszawy na dowódcę pułku Dzieci Warszawy koło Cytadeli. Na jego miejsce przyszedł pułkownik Czajkowski). Mówię: panie kapitanie, nie mogę iść teraz, bo jest jeszcze dziesięć minut do zakończenia meczu, muszę wiedzieć, jaki będzie wynik, bo na razie my wygrywamy. Czajkowski obsztorcował mnie, że się spóźniłem i powiedział, że od następnego dnia zostałem wyznaczony jako jeden z oficerów mobilizacyjnych. To była niedziela, a w piątek wybuchła wojna. Rano 1 września bombardowali Lublin, 2 września był bombardowany Zamość. Część oddziałów poszła na zachód, nad Wisłę. Mnie pułkownik Czajkowski zostawił u siebie jako komendanta szkolenia mobilizacyjnego oficerów rezerwy. Na koszary spadały bomby. Niem cy szli szybko. Masa ludzi uciekała z zachodu na wschód przed Niemcami. Była straszna panika, ludzie nie wiedzieli, co ze sobą robić –drogi zatłoczone. W tej atmosferze paniki popełniono wiele błędów, bo wielu uciekinierów uważano za agentów, prowokatorów.

Sądzono, że oni specjalnie sieją popłoch, żeby wywołać panikę i Niemcy mogli łatwiej opanować teren. Znam przypadek, gdy po krótkim sądzie rozstrzelano kogoś, kto uciekał na motocyklu i miał na sobie dwa garnitury, a jednocześnie nie chciał nic mówić. Od płk. Czajkowskiego dostałem zadanie prowadzenia działań osłonowych. Miałem być w stałej styczności z nieprzyjacielem, podejmować walki opóźniające jego marsz na wschód. Jedną z tych walk dobrze zapamiętałem, pod Uściługiem. Wojska nasze wycofały się już za Bug, w spokoju odchodziły. Dowódca pułku robi odprawę oficerów i mówi: proszę panów, chcę zorganizować oddział ochotniczy, który będzie

robił wypady na Niemców, żeby ich niepokoić. Wielu się zgłosiło, ale płk Czajkowski wybrał mnie. Pozwolił mi z całego pułku wziąć około 500 wyborowych żołnierzy, też ochotników. Mieliśmy zrobić zamieszanie, żeby Niemcy nie tak pewnie szli do przodu. Bo to była błyskawiczna wojna, Blitzkrieg. Pod Uściługiem Niemcy zgromadzili bardzo pokaźne siły artyleryjskie, ciężką broń, pancerną i przeciwpancerną. Uściługu bronił wtedy płk Zawiślak, dowódca pułku Pińsk. On nie miał już wojska, bo ci, którzy byli zmobilizowani, poszli na front. Miasta mieli bronić ochotnicy, pospolite ruszenie, większość w cywilu. Nie zdążono nawet rozdać im mundurów, mieli tylko karabiny. Pułkownik Zawiślak wzywa mnie do siebie i mówi: to zadanie jest nie do wykonania, bo przed panem jest Bug. Rzeka była wtedy dość rwąca i woda sięgała nam prawie po szyję. Zebrałem swoich ludzi, to byli różni ludzie, różnych wyznań, katolicy, prawosławni, grekokatolicy i inni. Zobaczyli szeroką rzekę, po drugiej stronie Niemcy, a nasze wojska odeszły na wschód. Woda jest cały czas oświetlana przez Niemców reflektorami – raz po raz, prawie bez przerwy. Mówię im: wchodzimy do rzeki, zanurzymy się pod wodę na ten czas, kiedy reflektor będzie nas oświetlał. Zrozumieli, ale ktoś zaraz rozpoczął „Ojcze nasz”, wszyscy uklękli i modlili się. Wchodzimy do wody, a płk Zawiślak do mnie mówi – już nie wrócicie. Przeszliśmy na drugi brzeg, patrzymy, stoją armaty, a nie ma żołnierzy, nie ma nikogo, tylko te reflektory. A żołnierze śpią. Armaty, czołgi, wszystko bez obsługi. Zebrałem moich młodych dowódców i mówię: każdy z panów bierze ze sobą trzy granaty. Zadanie jest takie, wkładać granaty do zamków karabinów maszynowych czy do armat, żeby je uszkodzić, nie będzie się to nadawało do strzelania. Zrobicie to i wracamy na sygnał rakiety. Przedtem z płk. Zawiślakiem ustaliłem, że rakieta będzie sygnałem, że to my wracamy i wtedy ci landszturmiści, czyli to, jak mówiłem, pospolite ruszenie, nie będzie do nas strzelało, będą wiedzieli, że to nie idą Niemcy. Wykonaliśmy zadanie. Niemcy w bieliźnie powyskakiwali z domów, strzelają na oślep, ale nas nie widzą. Wystrzeliłem rakietę, tak jak się umówiliśmy. Było nas około pięciuset. Chwyciliśmy się wszyscy za ręce i przechodzimy z powrotem przez Bug. Niestety, ten oddział płk. Zawiślaka, cywile, niewyszkolone wojsko, zaczęli strzelać. Wielu

nas wtedy zginęło w wodzie. Pozostali trzymając się za ręce doszli. Płk Zawiślak dziwił się, że prawie trzy czwarte z nas wróciło. Przyhamowaliśmy Niemców na prawie trzy dni. Pamiętam też, jak w ciężkiej bitwie walczyliśmy w pobliżu Brześcia z Niemcami. Słyszę, że jest bardzo ciężka strzelanina i widzę, że wszyscy ci moi żołnierze leżą plackiem i nie chcą się ruszyć do ataku. Wstaję, podrywam ich, biegnę. Wtedy wielu nas zginęło. Jeden z moich podchorążych, który leżał koło mnie, w czasie ataku dostał pocisk w brzuch z działka przeciwpancernego. Rozsadziło mu całkowicie brzuch. W okopie widział, że jadłem jabłko. Myśmy nie mieli co jeść, złapałem gdzieś jakieś jabłko w sadzie. Jelita miał na wierzchu. Mówi, jakby nie czuł tego postrzału: panie poruczniku, niech mnie pan poczęstuje jabłkiem. Daję mu jabłko, które jadłem, gryzie i widzę, że ono wychodzi mu na zewnątrz z rozerwanego jelita.

Sowieci

Dołączyliśmy do pułku po 17 września i weszliśmy w lasy biłgorajskie, ale niestety Niemcy szli za nami. My z tej grupy osłonowej mamy stałą styczność z Niemcami, znów ich powstrzymujemy, choć to już nie jest bardzo skuteczne, bo oni mają kilkakrotną przewagę, czołgi i wciąż prą na przód. W pewnym momencie zaczęli się cofać przed naszym silnym ogniem, widocznie myśleli, że w lesie jest masa żołnierzy. I w końcu zapadła cisza. Ale za chwilę słyszymy terkot tankietek, takich małych czołgów. Od wschodu, czyli na naszych tyłach. Za chwilę otaczają nas sowieckie czołgi. Nasz pułkownik powiedział: słuchajcie, Sowieci przekroczyli granicę 17 września, ale teraz oni idą nam na pomoc, żebyście broń Boże nie strzelali do nich, bo to są nasi sprzymierzeńcy. Wychodzi jakiś ich starszy oficer, był nawet odświętnie ubrany, jak nie w polowych warunkach. Podchodzi do naszego pułkownika i pyta: co wy tutaj robicie? Adiutantem był wtedy kpt. Kurowski. Kurowski mówi – walczymy. No to my wam pomożemy. Ale czołgi nas otaczają. Pułkownik Czajkowski mówi: nie martwcie się, to są nasi przyjaciele,

widzicie, że Niemcy już odeszli. (Oni już porozumieli się ze sobą, już nie walczyli). Następnego dnia wszędzie cisza, nie ma żadnych walk. Sowieci są wokół nas. Pułkownik Czajkowski wzywa oficerów na odprawę i mówi: panowie, to są wojska sowieckie, które mają wspomagać nasze oddziały, mamy spokój na froncie zachodnim, ofensywa niemiecka jest powstrzymana. Myśmy początkowo w to uwierzyli. Ale za chwilę przychodzi ich dowódca i mówi tak – zrobimy pożegnanie z wojskiem, bo idziecie do domu, my przejmujemy walkę. Cały nasz pułk ustawił się w czworoboku, jak do odprawy, świątecznie. Zrobiono ołtarz polowy, kapelan odprawia Mszę św. pożegnalną. Wydaje nam się, że coś jest nie w porządku, ale pułkownik cały czas nas zapewnia, że to jest pomoc z ich strony. Wzywa nas i mówi: kto chce, niech zatrzyma sobie broń, ale Sowieci na pewno nie pozwolą wam wyjść z bronią, bo nie wiedzą, czy wy się przeciwko nim nie zwrócicie. To zależy od dowódców poszczególnych kompanii, czy tę broń zatrzymać. Przychodzi dowódca rosyjski i mówi, że wszystką broń należy zdać zaraz po Mszy św. A co z oddziałami? Żołnierze idą w prawo, oficerowie w lewo, czyli odłączenie się od oddziałów. Żegnamy się. Na zakończenie tej Mszy św. Odśpiewaliśmy wszyscy Boże, coś Polskę. Żołnierze śpiewali to mocnymi głosami. W lesie ten śpiew wypadł bardzo patriotycznie i podniośle. Żegnam się ze swoimi podoficerami i mówię im: panowie, szkoda tych karabinów maszynowych, raz już u Niemców wypróbowaliśmy – wkładamy granat do komory nabojowej, on rozsadzi zamek i broń będzie nieużyteczna. Wszyscy tak zrobi liśmy, odskoczyliśmy w las, za chwilę rozległ się straszny wybuch. Przychodzi ten sowiecki dowódca i pyta, co się stało. A powiedziano nam, że możemy z bronią zrobić to, co chcemy, więc ponieważ żołnierze nie chcieli karabinów oddawać Niemcom, wysadzili je w powietrze. Oni chyba w to uwierzyli.

Miłe złego początki

Zaczynamy marsz spod Biłgoraja w kierunku na Zamość, do siedziby pułku. Szliśmy już pół dnia, a oni po drodze zaczęli zbierać furmanki. Jak wyszliśmy 2 września do walki na front, to nie wiem, czy spałem jedną całą noc, inni też. Cały czas były te potyczki z Niemcami. Teraz szliśmy i spaliśmy na stojąco. Oni to widzieli. Zwerbowali podwody – panowie mogą siadać na wozy. A jeszcze wcześniej powiedzieli do oficerów – broń mogą panowie zachować. Pytamy się dowódcy pułku, co powiedział ten Sowiet, co z nami będzie dalej. Zawiadomią nas o tym w Zamościu – odpowiedział. Po kilku dniach dotarliśmy do Zamościa. Tam ustawiają nas w szeregach na Rynku, przed ratuszem, pospisywali wszystkich, po kolei. Pytamy się, po co. A bo my was będziemy teraz rozwozić do domów, ale musicie trochę poczekać, bo nasz transport kolejowy jest zdezorganizowany. Mija drugi, trzeci dzień, a my do domów nie idziemy. Codziennie przychodzą z listą i wyczytują, czy wszyscy są. To już nie był tylko nasz pułk, była też grupa generała Płonki. Samych oficerów na tym rynku było chyba około pięciuset, podoficerów już z nami nie było, żołnierzy też nie, okazało się, że oni ich rzeczywiście rozpuścili do domu. Kiedy staliśmy na Rynku, już pierwszego dnia przyszedł do nas jakiś starszy oficer sowiecki z naszym adiutantem i wielką srebrną tacą, skradzioną zapewne gdzieś we dworze. Adiutant naszego dowódcy pułku mówi: panowie oficerowie, kto z panów będzie chciał, może złożyć tu pistolet. Dobrowolnie. A kto chce go sobie zatrzymać, może to zrobić. Myślę sobie, to pewnie jest jakaś pułapka, na pewno będą odnotowywać, kto zatrzymał, a kto oddał. Miałem dwa pistolety, jeden mały, F.N. BABY, a drugi wielki pistolet mauzer. Oddałem ten mały, oficer odfajkował to przy moim nazwisku. Ten drugi pistolet miałem prawie do końca konspiracji, do aresztowania przez gestapo.

Kombinezon

Otoczeni przez nich nocowaliśmy na Rynku. Z potrzebami fizjologicznymi pozwalali nam wychodzić w podcienia kamienic stojących przy Rynku, które od zewnątrz pozasłaniano jakimiś tekturami. Takie nam zrobili tam „szalety”. Nie myliśmy się chyba od początku września. Już nawet nam to nie przeszkadzało. Oni nie mieli żadnych kuchni polowych, ich oddziały poszły do przodu, zostali tylko ci, którzy nas przyprowadzili. Pozwolili ludności Zamościa przy nosić dla nas żywność. W pewnym momencie podchodzi do mnie dziewczyna, gimnazjalistka, przed maturą, Maria Sekutowicz. Znaliśmy się, bo ja sędziowałem u nich mecze siatkówki, koszykówki, kiedy przed wojną współpracowaliśmy ze szkołami. Przyniosła mi jedzenie i mówi: to jest paczka z jedzeniem, a tu jest taki specjalny dla pana pakunek. Rozwijam to, a tam kombinezon ślusarski. – Proszę pana, bo my nie mamy pewności, czy to jest prawda, jak oni mówią, że was rozwiozą do domów, bo na razie zbierają różne wagony i montują tutaj pociąg, a okna zakratowują drutami kolczastymi, więc może was chcą gdzieś wywieźć, gdzieś internować? Ludzie w Zamościu coś przeczuwali, bo widzieli, że coś dzieje się na stacji kolejowej. I dodała: tu bardzo wielu cywili przychodzi z paczkami żywności na Rynek, dlatego panu radzę, jak pan ma możność, niech pan się przebierze w ten kombinezon. Pomyślałem, mam mundur zdjąć i nałożyć kombinezon!? Ale ona dodaje, że ojciec tak mówi. Jej ojciec był profesorem, wykładał we Lwowie, rodzina mieszkała w Zamościu, ale wtedy już był z nimi. Niech się pan przebierze – nalegała. Wziąłem swoją obszerną pelerynę wojskową i pod nią naciągnąłem kombinezon na mundur wojskowy. – Weźmie pan ten mój koszyk po żywności, oni nas nie kontrolują. Myślę sobie, jeszcze muszę zameldować się u dowódcy pułku, nie mogę tak odejść. Idę do niego, on na mnie patrzy i mówi, czy mnie oczy mylą? Nie, to ja, panie pułkowniku, Ruman. A gdzie mundur? Pod spodem. To pan mundur przysłonił w ten sposób, jak pan śmiał tak zrobić!? – Panie pułkowniku, ale ja mam informacje, muszę się nimi podzielić z panem. Mówią, że nas wcale nie rozwożą do domów, tylko, że mogą z nami co

innego zrobić, nie wiadomo co, ale nie pojedziemy do domów. – To co pan chce zrobić? – Chcę stąd wyjść. – Nie, ja się na to nie zgadzam. – Panie pułkowniku, ale w tej chwili to już każdy sobą dysponuje. Już nie jestem podwładnym, już każdy z nas odpowiada za siebie, a mnie w podchorążówce uczyli, że zawsze, kiedy będę w trudnych warunkach, muszę próbować uciekać, bez względu na to, jakie są szanse uratowania się, muszę uciekać. Ja uciekam. – A ja nie uciekam, proszę pana.

Kiedyś w Radomiu znalazłem w jakimś dzienniku informację, że płk Czajkowski odnalazł się, żyje, jest teraz w Kanadzie. Z tego wnioskuję, że on też w jakiś sposób stamtąd uciekł. Znalazłem potem jeszcze innych kolegów, którzy byli wtedy w Zamościu i przeżyli – por. Pytlakowski, por. Wajdowicz. Uciekli i znaleźli się później w konspiracji. Większość jednak została. Poszedłem do Sekutowiczów, ale profesor mówi mi: pan nie może być u nas. Ja jestem z uniwersytetu lwowskiego, jesteśmy tutaj śledzeni, nie wiadomo, kiedy do nas przyjdą. Mamy dla pana pewną melinę, gdzie nikt nie będzie podejrzewał pana obecności. Sekutowiczówna podała mi nazwisko pewnej żydowskiej dziewczyny. – Pan ją zna, ona z nami grała w siatkówkę, nazywa się Flug, mieszka na Starym Mieście, nie na samym Rynku, ale na zapleczu. Tam na strychu będzie pan mógł się przechować, do nich nikt nie przyjdzie. Poszedłem. Ojciec z patriarchalną brodą, starozakonny, przyjął mnie z powagą, jego córka prowadzi mnie i mówi – tato, on będzie u nas niedługo. Widziałem, że ojciec nie był z tego zadowolony, ale nic się nie odzywał. Na strychu przechowałem się dwie albo trzy doby. Stamtąd poszedłem na inną melinę, u Tracza, który pracował w szkole jako woźny. Mieszkał blisko naszych koszar. On był bezpieczny, poza podejrzeniami, Sowieci traktowali go jako robotnika. I u niego, w Zamościu, od razu rozpocząłem konspirację.

Uniknąłem Katynia

Zamelinowałem się w Zamościu. Pozostałych oficerów zabrano za jakieś dwa dni. Nie mogłem sam iść, żeby obserwować, jak ich wywożą, opowiadała mi o tym Maria Sekutowicz. Wszystkich załadowali do wagonów okratowanych, zadrutowanych i wywieźli na wschód. Ja pamiętałem nazwiska swoich kolegów z tej codziennie, czasami kilkakrotnie odczytywanej listy, pamiętam też te, które były przede mną i za mną. To byli oficerowie z innych pułków. Jak w 1943 r. Niemcy ogłosili listę zamordowanych w Katyniu, to na niej były te nazwiska, do niedawna je pamiętałem. Mojego nazwiska tam nie było. Nie wiem, czy oni mnie wykreślili jeszcze w Zamościu, czy dopiero tam, na miejscu. Moja ucieczka była dziwnym zbiegiem okoliczności. Muszę powiedzieć, że przebierając się w ten kombinezon, miałem bardzo poważne skrupuły, czy robię dobrze, czy nie popełniam jakiegoś strasznie niehonorowego czynu. Do tego stopnia, że kiedy przyjechałem do Radomia, gdzie była moja siostra (już wiele miesięcy później), przyszedłem do niej w mundurze, a na nim miałem garnitur. Nie mogłem ściągnąć munduru, nie mogłem się na to zdecydować...

Do rodziny

Zastanawiałem się, co teraz powinienem robić. Zgłosiłem się do hrabiego Zamoyskiego, a właściwie do jego plenipotenta w Zwierzyńcu. On wiedział, że wielu oficerów dostało się do niewoli, jakoś nas znał, bywał u nas na balach pułkowych. Zgłosiłem się, że chciałbym się ukryć, bo w Zamościu wszyscy mnie znają, a ja chcę pracować w konspiracji. – Dobrze, wystawimy panu dowód, że jest pan u nas gajowym. – Był już wtedy ze mną mój kolega, z mojego rocznika, który także uciekł, por. Nowak. Dali nam dwa takie zaświadczenia. Nie dało się tam długo wysiedzieć, bo przyszli Niemcy, którzy mieli tam bardzo dobre rozpoznanie, więc musiałem zniknąć. Postanowiłem pojechać do

Kołomyi, do rodziców. Wyruszyłem w drogę do Lwowa. Szedłem na Bełżec, piechotą. Nie miałem mapy i po drodze pytałem ludzi, jak iść na Lwów, oni wskazywali mi drogę. W lesie pod Bełżcem trafiłem na patrol sowiecki, było ich dwóch, ale byli tacy tępi, że jak tłumaczyłem, że chcę przejść na drugą stronę (pod Bełżcem była wtedy linia demarkacyjna), to oni mówią: dobrze, ale musisz najpierw zgłosić się w Bełżcu. Na to wszystko z lasu wychodzi dwóch Żydów. Mieli opaski czerwone i karabiny. Sowieci mówią: zaprowadźcie go do Bełżca. Słyszę, że między sobą zaczynają rozmawiać w jidisz (a ja dobrze znałem niemiecki) – Co będziemy taki kawał z nim szli, po co go będziemy prowadzić? Powiemy, że uciekał i musieliśmy zastrzelić. No, myślę sobie, to nie w porządku i mówię – ja znam niemiecki i wiem, o czym ze sobą rozmawiacie. – A nie, my cię tam doprowadzimy. Zaprowadzili mnie do Bełżca, zamknęli w jakiejś drewutni ze skoblem i poszli po Sowietów, żeby mnie sprawdzili. Przecież nie będę czekał, aż oni mnie w jakiś sposób zlikwidują. Jak tylko się ściemniło, wyłamałem te drzwi i uciekłem. I dalej idę pieszo do Lwowa. Doszedłem tam dokładnie 11 listopada 1939 r. Na dworcu słyszę strzelaninę, jeżdżą samochody, jakaś wielka obława.

Okazało się, że studenci i młodzież zorganizowali manifestację z okazji święta. Na dworcu jeszcze był wtedy ten napis „Leopolis semper fidelis”. Wsiadłem w jakiś pociąg, tam bez przerwy szły pociągi w kierunku na Zaleszczyki, towarowe. Pojechałem przez Stanisławów do Kołomyi. Do domu dotarłem 13 listopada, w moje imieniny. Matka, kiedy mnie zobaczyła, mówi: Staszek, jak wyście tam kapitulowali… – Myśmy nie kapitulowali, nas Ruscy otoczyli… – A my mieliśmy wiadomość, że jak was wtedy brali, to tyś popełnił samobójstwo. Przyszedł twój kolega i powiedział, że na jego oczach popełniłeś samobójstwo, zastrzeliłeś się. Ale błagam cię, uciekaj stąd jak najprędzej, już od miesiąca nas nachodzą, przychodzi milicja i pytają się o ciebie. – Oni spodziewali się, że pojechałem do rodziców. Przywitałem się tylko z rodziną i od razu pożegnałem. Poszedłem do swojej ówczesnej narzeczonej, a ona mówi to samo: przychodzą ciągle i pytają o ciebie. I znowu stają mi przed oczami te sytuacje z Rynku w Zamościu. To był wręcz Wersal. Podchodzili do nas z pełnym

szacunkiem, jak oficer do oficera, rozmawiali z nami nawet z pewnego rodzaju uniżeniem. Byliśmy tym zdziwieni. Dlatego pułkownik Czajkowski, gdy mu powiedziałem, że trzeba uciekać, odpowiedział: Nie, oni mi dali słowo honoru, że nas rozwożą do domów, i ja muszę im wierzyć. Oni dali słowo honoru, ale może ten honor u nich inaczej wygląda – powiedziałem.

Początki konspiracji

Wróciłem do Zamościa prawie bez przeszkód. Przy ulicy Lwowskiej w Zamościu mieszkał porucznik Maślanka, który organizował konspirację. Przyłączyłem się do niego. Był też sierżant Kaczmarski, plutonowy Majdan. Potem dostaliśmy od Sikorskiego rotę przysięgi: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski, przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, o wyzwolenie jej z niewoli walczyć będę zawsze aż do ofiary z mojego życia, wszelkim rozkazom będę posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg". Zaprzysięgaliśmy następne osoby. Ukrywałem się w Zwierzyńcu u jakiegoś gospodarza i stamtąd kierowałem konspiracją. Zadaniem naszym było zgromadzenie broni, której tam się walały całe sterty, po lasach było jej pełno. Zbieraliśmy ją, konserwowaliśmy i zakopywaliśmy, bo kiedyś się przyda. Myślę, że tam jeszcze do dzisiaj jest wiele tej zakopanej broni. Byłem tam dosyć długo, jednak okazało się, że jestem znany wśród młodzieży i ktoś może mnie wsypać. Kiedyś przyszedłem do Zamościa, do centrum i wszedłem do restauracji, w której czasami bywałem przed wojną. Widzę obok stolik zajęty przez Niemców i siedzą z nimi jacyś cywile. Zobaczyłem, że jakoś się mną zainteresowali. Dyskretnie stamtąd zwiałem i poszedłem do porucznika Maślanki. On uważał, że nie mogę tam dłużej być, bo jestem tam znany wśród młodzieży, może mnie ktoś wsypać.

W Radomiu mieszkała moja siostra, żona oficera. Okazuje się, że u

nich, w bloku oficerskim, wszędzie stacjonują starsi niemieccy oficerowie, nie liniowi, z rezerwy. U siostry także ktoś mieszkał. Pomyślałem, że pod jego bokiem powinienem być całkowicie bezpieczny. Nikt nie będzie podejrzewał, że obok niego może być ktoś z konspiracji. Byłem u siostry kilka miesięcy. Tam dowiedziałem się, że dobrze działa konspiracja w Puszczy Kozienickiej. Później w Górach Świętokrzyskich był mój kolega Jan Piwnik „Ponury”. Komendantem obwodu Kozienice był kpt. Bielawski „Jeleń”. Zgłosiłem się do niego, był u niego już mój przyszły szwagier, z Kobrynia, Janczak, miał już jakąś misję. Przyjęto mnie tam z otwartymi ramionami, miałem dość dobrą funkcję, znalazłem się w sztabie AK, nawiązałem bezpośrednie kontakty z komendą okręgową AK w Radomiu. Byłem szefem komórki kontrwywiadu i wywiadu wojskowego. Chodziło o ruchy wojsk niemieckich na wschód. To był rok 1941. Meldunki wysyłaliśmy do Anglii: o ruchach wojsk niemieckich, transportach itd.

Obława

Na 20 lipca 1942 r. Niemcy przygotowali obławę, wiedziałem o wszystkich ich posunięciach. Zameldowałem o tym do Warszawy, Radomia i Londynu – że szykuje się wielka obława w Garbatce. Mój komendant, kpt. Bielawski, na odprawie z moimi kolegami powiedział, że „Staszek”, czyli ja, szczyci się tym, że wie o planowanej obławie. Ale skąd on może to wiedzieć? Była sporządzona lista ponad tysiąca osób do aresztowania, ja ją przedstawiłem. Mieliśmy kontrwywiad zorganizowany w ten sposób, że był on częściowo oparty na zastraszaniu konfidentów gestapo. Umowa była taka: nie likwidujemy was, ale musimy wiedzieć o gestapo wszystko. Ta wiadomość o obławie była całkowicie pewna. Rzeczywiście, nadchodzi 20 lipca, Garbatkę otacza SS i inne oddziały niemieckie. Wzięli te wszystkie osoby, które były na liście. Wcześniej radziłem komendantowi, żeby uciekać i uprzedzić wszystkich. Odmówił z obawy przed zdekonspirowaniem naszych konfidentów i ze względu na podejrzenia,

że lista może być fikcyjna. Jego wzięli pierwszego, mieszkał w lesie, w szałasie.

Słysząc, że idzie obława, zaczął uciekać w kierunku domu, gdzie mieszkałem. Zastrzelili go tam, koło mojego domu. Ja skryłem się na strychu, dzięki temu przeżyłem. Byłem po wojnie na ekshumacji jego zwłok, NKWD otoczyło to miejsce. Tak mi było przykro, że mogłem go ocalić, a on nie chciał w to uwierzyć. Obława została przeprowadzona i ponad tysiąc osób aresztowano, śledztwo było prowadzone od razu w Garbatce i stamtąd wywożono do Oświęcimia. Kiedy gestapo się wycofywało z tej obławy, myśmy w ślad za nimi szli i doszliśmy do Kozienic, tam mieliśmy swoją dobrą, pewną komórkę, gdzie się przechowaliśmy u dróżnika Wirażki (członka naszej organizacji). Zgłosiłem się do okręgu w Radomiu, a oni mówią: wracać pan tam nie może, bo jest pan spalony, był pan też na liście. Przenosimy pana na stanowisko inspektora AK okręgu radomsko-kielecko-częstochowskiego. Moim zadaniem była kontrola stanu wyszkolenia we wszystkich obwodach. Zamieszkałem w Częstochowie, pod Jasną Górą, na ulicy Wieluńskiej 12.

Inspektor

Kiedyś, gdy byłem w podchorążówce, mieliśmy strzelanie artyleryjskie z mapy. W pewnym momencie na poligon w Czerwonym Borze przychodzi depesza od moich rodziców, że zmarła moja najmłodsza siostra. Powiadomił mnie o tym kpt. Świderski, który prowadził to szkolenie. Mówi mi tak: panie podchorąży, ale pan ma teraz odbyć strzelanie. I to, czy ja pana zwolnię, zależy od wyników strzelania. Ja byłem roztrzęsiony, poszło mi to strzelanie strasznie. A on mi powiedział, tu leży pies pogrzebany, nieprzygotowany jest pan do tego, a chciał pan jechać na pogrzeb. Nie puścił mnie. Teraz jestem inspektorem i lustruję cały, bardzo duży okręg. W Radomsku trafiam na komendanta tamtejszego obwodu. U nas był taki zwyczaj, mimo że

byłem w cywilnym ubraniu, ale jak przychodziło się na służbową wizytację, to meldowało się po wojskowemu. I słyszę: kpt. Świderski... Patrzę, a to jest ten, który mnie wtedy nie puścił na pogrzeb siostry. Nie wiem, czy mnie poznał, mógł mnie nie pamiętać. Zacząłem inspekcję. Nie wszystko było tak, jak być powinno. Mogłem napisać krytyczny protokół, mogli go zdjąć z tego stanowiska, ale to by zakrawało na zemstę. Pożegnaliśmy się chłodno.

Aresztowanie

Gdy pełniłem funkcję inspektora w Częstochowie, dużo jeździłem. Wielu moich kolegów już dawno wpadło, ja jakoś ocalałem. Aresztowali mnie, jak się później okazało, w komunistycznej skrzynce kontaktowej w Radomiu. Oficjalnie było to „biuro pisania próśb i podań", a jednocześnie miejsce, gdzie produkowano fałszywe dokumenty. Chciałem napisać tam podanie o pracę w niemieckiej firmie handlującej zwierzętami, która stwarzała możliwości swobodnego poruszania się. Pukam i słyszę, że ktoś podchodzi do drzwi, ale ruszam klamką, a drzwi są zamknięte. Chodziłem wtedy w skórzanym płaszczu, jak Niemcy. Zapukałem ponownie, drzwi się otwierają i ktoś krzyczy: Hände hoch! Miałem wtedy przy sobie pistolet, wzięli mnie do środka, potem zaraz na gestapo, rozpoznawali mnie. Nie przyznawałem się, ale mieli o mnie informacje. Tam wtedy była wielka wsypa. Niemcy dowiedzieli się, że to było fikcyjne biuro, że tam wydawano fałszywe dowody osobiste, i że to prowadzą komuniści. Znalazłem się w więzieniu gestapo w Radomiu przy ulicy Kościuszki, w pojedynczej podziemnej celi, gdzie trzymano „specjalnych" więźniów. Myślałem o ucieczce. Cały dzień byłem zakuty, ręce skute z tyłu i przykute do łóżka. Na noc mnie rozkuwali i tylko jedna ręka pozostawała przykuta do łóżka. Nocą były przesłuchania. Cały czas myślałem, czy nie uda się uciec, kiedy mnie rozkują. Po drodze do ustępu nawiązałem kontakt z innymi więźniami gotowymi uciec. Rano przy śniadaniu nie było jeszcze pełnej obsady. Przynieśli śniadanie, strażnik wchodzi do celi i rozkuwa mnie. Kajdankami

uderzyłem go w głowę, na chwilę stracił przytomność. Zdążyłem wziąć od niego klucz i pootwierać inne cele. Otworzyłem ich pięć, może sześć. Otwieramy już drzwi na zewnątrz, ale zaczyna się strzelanina. Mój kolega z NSZ Orlik dostał kulę. Zabili go na miejscu. O ucieczce nie było już mowy. Wróciliśmy do cel, zdążyłem je pozamykać. Moja cela otwarta, już wszyscy wiedzą, że to ja. Woła mnie na górę szef tamtejszego gestapo kpt. Fuks i pyta, ale bardzo grzecznie: proszę pana, kto organizował tę ucieczkę? A ja mówię, że Orlik. – No tak, on zginął, ale tak naprawdę to kto? – Ja organizowałem. A on mówi, brawo, brawo i klepie mnie po ramieniu. Ja też jestem oficerem. Co pan ma zamiar dalej robić? – Mam zamiar czekać na następną okazję. On znowu mnie poklepał i mówi: tak, tak powinien zachowywać się oficer. Byłem pewny, że będą mnie potem jakoś szykanować, ale on powiedział, że od dzisiaj nie będę przykuwany do łóżka. Zaczęli mnie traktować niemal jak jakiegoś honorowego więźnia. Widziałem jednak, jak zabierano moich kolegów z poszczególnych cel na rozstrzelanie. Rozstrzeliwali ich na Firleju. Zdejmowali im kajdanki i wiązali ręce zwykłym drutem, żeby kajdanki się nie marnowały.

Fornalska

W sąsiedniej celi siedziała Małgorzata Fornalska. Kiedy ją sprowadzali schodami po zeznaniach, schody były czerwone od krwi. Ona była strasznie maltretowana, dosłownie wlekli ją po schodach. Razem z nią złapano Pawła Findera. Jego kiedyś wpuścili do mojej celi, ale tylko na jedną noc. Nie wiem, czy on miał mnie złamać, czy miał się czegoś dowiedzieć, w każdym razie nic z tego nie wyszło. On sam mi powiedział, że nazywa się Paweł Finder. Później dopiero dowiedziałem się, że Finder miał zorganizować biuro legalizacyjne, wydające członkom PPR fałszywe kenkarty i inne dokumenty. Używał do tych celów biura, w którym zostałem aresztowany. Być może więc wpuszczono go do mojej celi, żeby sprawdzić, czy mamy jakieś kontakty, czy jest jakaś współpraca między organizacją komunistyczną

a AK, co było oczywiście absurdalne.

Wiedziałem, że Fornalska była ideową komunistką i ateistką. Któregoś dnia ktoś, kto zamiatał korytarz, wsunął nam w szpary pod drzwiami obrazek „Jezu, ufam Tobie”. To był rok 1943, a ten obrazek był znany w Polsce już przed wojną. Rozmawialiśmy przez otworek zrobiony gwoździem w dzielącej nas ścianie, przy samej podłodze. I ona mi mówi: dostałam obrazek, co to jest? Mówię jej, że trzeba więcej ufać i wierzyć. No tak – mówi ona – ale pan chyba sam w to nie wierzy? – Nie, ja właśnie wierzę. Któregoś dnia przychodzą po nią, żeby ją zabrać na Firlej na rozstrzelanie. Fornalska już skończyła zeznania. Zabierają ją i widzę przez wizjerek, że na korytarzu ona już nie ma kajdanek, tylko druty na rękach. Wiedziałem więc, że idzie na rozstrzelanie. Za jakiś czas, mniej niż za godzinę, ona wraca do celi, za nią gestapowiec. Myślę sobie, szła na rozstrzelanie i darowali jej życie? Dowiedziałem się wszystkiego od Budulskiej, która siedziała razem z Fornalską w jednej celi, to był wyjątek w tych piwnicach. Budulska była z AK, prowadziła archiwum AK w Skarżysku - Kamiennej. Fornalska wróciła do celi, bo gdy już znaleźli się na Firleju, w lesie gdzie rozstrzeliwano, poprosiła, żeby ją powieźli z powrotem, bo czegoś zapomniała. Oni pewnie myśleli, że ma jakąś ukrytą tajemnicę i że chce to wziąć lub zniszczyć. Przywieźli ją z powrotem, ale ona zabrała tylko ten obrazek. Potem ją wywieźli. Prawdopodobnie pod koniec życia nawróciła się.

Numer 36057

Przesłuchiwano mnie zawsze po północy, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Pod koniec maja 1944 roku dowiedziałem się, że kończy się mój pobyt w więzieniu gestapo. Z przebiegu śledztwa mogłem się domyślać, że mnie rozstrzelają. Ostatnie przesłuchanie miało jednak zupełnie zaskakujący charakter. Referent Appelt, Polak z pochodzenia, wychowanek uniwersytetu w Łodzi, zwany przez nas „czerwoną krawatką”, bo wydawał zwykle wyroki śmierci, tym razem prowadził ze

mną spokojną rozmowę. Odniosłem wrażenie, że czuł wiele obaw w związku z posuwającą się ofensywą sowiecką. Po przesłuchaniu sprowadził mnie z piętra do celi w podziemiu i powiedział: „Do zobaczenia po wojnie”. Następnego dnia skuto mnie kajdankami i zawieziono na stację kolejową Radom, gdzie zobaczyłem zestaw bydlęcych wagonów, ale tu – w odróżnieniu od wagonów w Zamościu – okna nie były zakratowane. Od razu pomyślałem, że uniknąłem kiedyś w 1939 r. wywózki na Wschód, ale teraz nie uniknę wywózki na Zachód. W wagonie specjalnym, zwanym „więźniarką”, do którego mnie wsadzili, było tylko pięciu oficerów sowieckich wyższych stopni. Próbowałem nawiązać z nimi rozmowę, coś się dowiedzieć, ale bez skutku. Domyślałem się, że wbrew Konwencji Genewskiej potraktowano ich nie jako jeńców wojennych, ale jako zwykłych przestępców. Być może nie byli oficerami liniowymi, tylko członkami NKWD, których Niemcy nie uznawali za wojsko. Jechaliśmy na Zachód. Po dwóch dniach dotarliśmy do Gross-Rosen, gdzie w brutalny sposób wyładowano nas z wagonów. Potem w długiej, liczącej około 500 do 700 osób kolumnie prowadzono nas pustymi ulicami miasta do obozu koncentracyjnego. Otrzymałem numer 36057. Po kilku dniach urządzono apel, na którym przeprowadzono selekcję więźniów. Większość zakwalifikowano do tzw. „Gamli”, czyli niezdolnych do pracy, a więc z perspektywą szybkiej likwidacji. Pozostałych rozdysponowano według umiejętności zawodowych podawanych przez samych więźniów. Podałem, że jestem ślusarzem, choć nigdy nie wykonywałem takiego zawodu (chyba przypomniał mi się ten kombinezon, który raz uratował mi życie). Zostałem przydzielony do filii zakładów Kruppa w Fünfteichen Komando Gross-Rosen, gdzie produkowano wówczas części do rakiet średniego zasięgu V-1 i V-2.

Ucieczka z Gross-Rosen

Gdy w styczniu ewakuowano pierwszą grupę więźniów, przebywałem od dwóch tygodni na rewirze (obozowej izbie chorych) po pobiciu przez

blokowego w Wigilię Bożego Narodzenia (skatował mnie za to, że wśród śpiewanych kolęd zaintonowałem Boże, coś Polskę). Około 27 stycznia bombardowanie Wrocławia spowodowało przerwę w dopływie prądu do obozowego ogrodzenia. Z pięcioma kolegami wykorzystaliśmy tę szansę i pod drutami wydostaliśmy się na wolność. Szliśmy stale na wschód, w kierunku odgłosów walk frontowych: przez Namysłów, Częstochowę. Pod Jasną Górą zostałem wraz z kolegą zatrzymany przez NKWD. Nie wierzono nam, że uciekliśmy z obozu. Podejrzewano nas o szpiegostwo. Uratowało nas to, że rodzina kolegi mieszkająca w Częstochowie poświadczyła, że ich syn był wywieziony do obozu. On z kolei potwierdził, że razem uciekliśmy z Gross-Rosen. Później już sam podróżowałem w kierunku Radomia. W Kielcach zostałem zatrzymany przez ubowców – zwolnili mnie, kiedy ich przekonałem, że wracam z obozu. Do siostry w Radomiu dotarłem 2 lutego 1945 r. Później wróciłem do mojego miejsca pobytu z czasu okupacji – do Garbatki. Odnowiłem kontakty i kontynuowałem pracę w rozwiązujących się oddziałach AK, a potem do 1947 r. w WiN. Dopiero po trzech latach pracy w Warszawie, w 1951 r., napisałem w ankiecie personalnej, że byłem zawodowym oficerem.

Wysłuchała i opracowała Barbara Polak
Artykuł pochodzi z: „Biuletynu IPN” nr 5-6/2005

Podziel się: